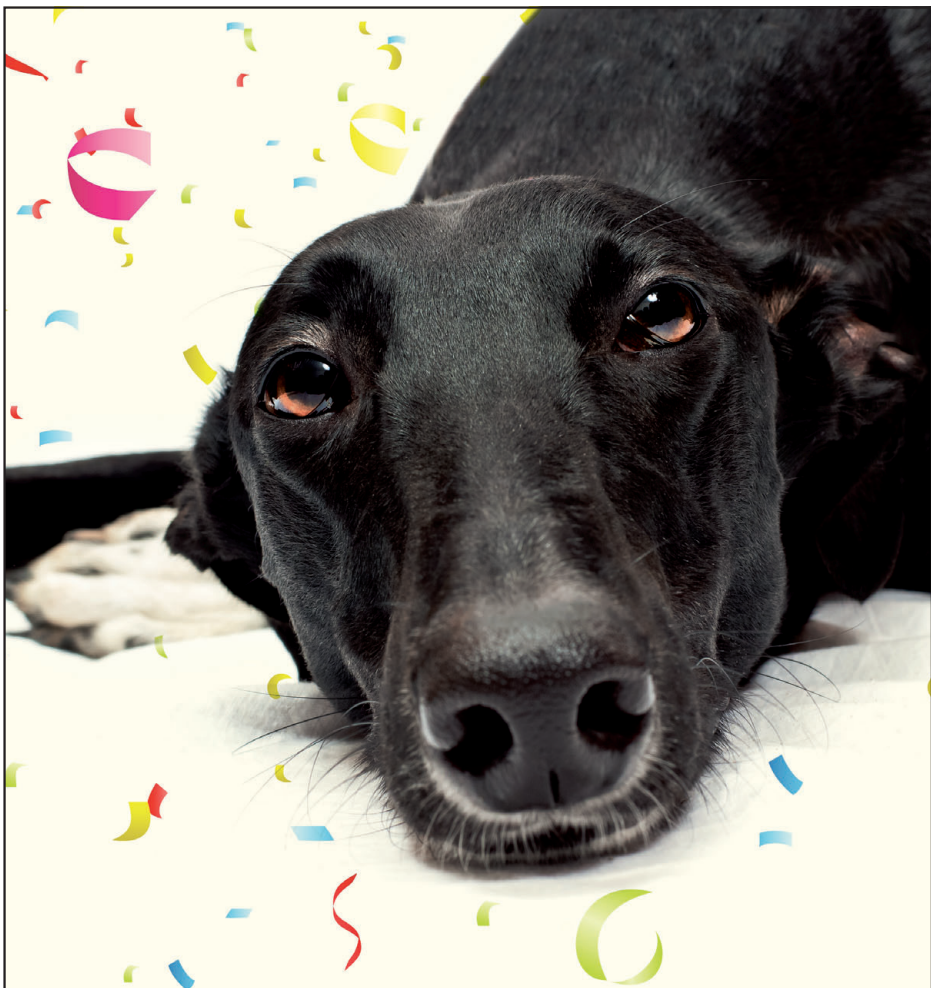




Andrew Dilger

Suka z klasą

Zakochałam się w psie z tej przezabawnej książki!

TWIGGY

Prolog

Dash stała na stole, dysząc gorączkowo. Była druga nad ranem. Podrapane drzwi, obgryzione oparcia krzeseł, potłuczona doniczka i przegryziony kabel. Podłoga, która jeszcze godzinę wcześniej była tak nieskazitelna, że można by było z niej jeść, teraz wyglądała, jakby ktoś — a raczej coś — naprawdę z niej jadł. Lampa opierała się o ścianę niczym bokser, który nie ma siły stać. Nogi stołu i krzeseł wyglądały, jakby miały wysypkę, i całe kawałki były podgryzione. Zadrapania po jednej stronie drzwi wydawały się dziełem tygrysa szablozębnego. Albo tyranozaura. Wystarczyła mi chwila, żeby ogarnąć to wszystko wzrokiem. Ze zdumienia i przerażenia moje oczy zrobiły się okrągłe. Zauważyłem, że jedynym ocalałym przedmiotem, jedyną rzeczą w całym pokoju, której nie dotknęła wściekła i gwałtowna napaść, było psie legowisko w kącie.

Zawsze marzyłem o psie. Psy to wolność, przepustka do uganiania się po polach i dni spędzanych na świeżym powietrzu. Przyjaciół, ale też zabawka — coś, co można ukształtować na idealnego towarzysza, pierwotna więź z naturą, z tym, co w życiu naprawdę jest ważne. Posłuszny i wierny, od początku do końca. Ogon pracujący jak wycieraczka samochodowa, różowy jęzor, wilgotny nos i rozradowane spojrzenie. Jaki chłopiec nie chciałby, żeby w jego życiu pojawił się taki żywiół? Ale trzydziestosiedmioletni facet? I

emerytowany chart wyścigowy? Miałem się właśnie dowiedzieć, co z tego wyniknie.

Pierwsze, czego się dowiedziałem, było to, że o niczym nie mam pojęcia.

Wrzesień

Jak doszło do tego, że chart demolował dom o drugiej w nocy? Wszystko z powodu pracy. Po przepracowaniu czterech lat jako redaktor w Oxford University Press zrezygnowałem ze stanowiska, żeby zacząć pracować na własny rachunek. Miałem odtąd spędzać całe dnie w domu. Dlaczego zatem nie postarać się w końcu o psa, o którym zawsze marzyłem — psiego współpracownika, który zwijałby się w kłębek pod moim biurkiem?

Sarah, moją dziewczynę, poznałem również dzięki pracy. To ona zauważyła ogłoszenie o charcie; ona przyniosła ogłoszenie do domu; i to ona chciała, żebym spełnił swoje marzenie z dzieciństwa.

Jednak, chociaż bardzo mnie korci, nie mogę zrzucać całej winy na pracę. A już na pewno nie na Sarah — jest po prostu zbyt urocza. Kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, oczarowała mnie jak żadna inna kobieta wcześniej. Nie mogłem uwierzyć w to, że jest wolna. Bo nie była, tak do końca. Jej uroda stawiała ją poza moim zasięgiem — ten malutki nosek i wystające kości policzkowe mogły pewnie przyprawić o bezsenność niejednego samotnego mężczyznę.

Nie, całkowitą winę za tę klęskę biorę na siebie. To ja byłem głupcem, który tak bardzo marzył o psie... Marzył o psie, a skończył z utytułowanym chartem.



Być może to dziwne, ale najpierw pojawiło się imię, a potem pies. Wiedziałem, że musi być krótkie i dynamiczne — takie, żebym nie czuł się zakłopotany, wołając psa w parku. Na liście finalistów znalazły się Spook, Nelson, As i Tytus. Wszystkie brzmiały, jakby należały do macho (może trochę za bardzo przypominały ksywy pilotów myśliwców), ale w końcu zdecydowałem się na imię, które *Oksfordzki Słownik Języka Angielskiego* definiował zarówno jako „ruszyć gdzieś w pośpiechu”, jak i „znak graficzny zapisywany w postaci poziomej kreski”. Dash. W jednej z książek poświęconych psom odradzano nadawanie im jednosylabowych imion (psy nie rozumieją ich z daleka), ale doszedłem do wniosku, że jeśli będę krzyczał „DA-ASH!”, to powinno się udać. Poćwiczyłem nawet w ogrodzie, wrzeszcząc wybrane imię i prosząc Sarah, żeby sprawdziła, jak mnie słyhać. Sąsiedzi pewnie się zastanawiali, co za przedstawienie odgrywamy, ale moja dziewczyna, stojąca pośród grządek, w końcu uniosła kciuki w triumfalnym geście. I tak, w ten cudownie pokrętny sposób, musiałem jeszcze tylko znaleźć psa, który pasowałby do imienia.

Wybór wydawał się prosty: kupić albo adoptować. Ale ile w ogóle pies kosztuje? Taki z rodowodem jest pewnie droższy od nierasowego, ale czy chodzi tu o dziesiątki czy setki funtów? Wiedziałem, że kundle są zdrowsze i bardziej rozrywkowe, ale nie mogłem się wyzbyć wrażenia, że psy rodowodowe mają historię, pochodzenie, rodzinę. Jednym słowem rodowód. Szlachetniej jest zaadoptować psa. No i nic to nie kosztuje, co przemawiało do mnie, jako właściciela jednoosobowej firmy, który musiał walczyć o zlecenia i liczyć się z każdym groszem.

Kolejny dylemat: lepiej sprawić sobie szczeniaka czy dorosłego psa? Jako najmłodszy spośród trzech braci zdążyłem się przyzwyczaić, że wszystko, co miałem, odziedziczyłem po innych: począwszy od zabawek, a na przyjaciółkach skończywszy. Miałem zatem okazję stać się naprawdę pierwszym i jedynym właścicielem jakiegoś psa. Z czym

właściwie wiąże się wychowywanie szczeniaka? Jak trudne może się to okazać? Porozmawiałem ze znajomym, który kilka miesięcy wcześniej wziął szczeniaka cocker-spaniela. Po tym, jak usłyszałem o lecie, które upłynęło pod znakiem zasympianych i zabrudzonych dywanów, oraz gryzieniu wszystkiego, od butów po rachunki, stwierdziłem, że mam wystarczająco dużo na głowie i nie chcę, żeby moje nowe przedsięwzięcie zeszło na psy. Zaadoptuję odchowanego psa i zapewnię mu nowy dom. Tak będzie tanio i szlachetnie, a nawet jeśli stracę przez to kilka szcenięcych lat, to — w ramach pocieszenia — od razu będę miał psa w kwiecie wieku. Ani się obejrzę, a będziemy ścigali się po polach.

No i jeszcze rasa — najlepsze w tym wszystkim. Mówi się, że pies wygląda jak jego właściciel, albo, co gorsza, działa to w drugą stronę. Kim byłem zgodnie z tą opinią? Prawie metr osiemdziesiąt wzrostu, łysy, o bystrym spojrzeniu, mały okrągły nos, chudy, żeby nie powiedzieć kościsty... Wydawało mi się, że nie ma takich psów, a nawet gdyby się trafił jakiś o takim wyglądzie, nie przetrwałby jednej zimy. Rozważyłem swoją sytuację. Chociaż zostałem wolnym strzelcem, to planowałem pracować w pełnym wymiarze godzin, co oznaczało, że mojemu psu musi wystarczyć kilka spacerów dziennie. Zatem spaniele i teriery odpadały. Należało także wziąć pod uwagę aspekty praktyczne. Szeregowy dom, który pełnił jednocześnie funkcję mojego miejsca pracy, był niewielki. Miał wprawdzie przyjemny ogród z trawnikiem, na tyle jednak krótki, że ledwie można było w nim rzucić piłką tenisową. Czyli żadnych retrieverów. Doszedłem do wniosku, że psu będzie najwygodniej w niewielkiej oranżerii — cieplej o poranku i nieco chłodniejszej po południu. Zdażyłem już nawet wybrać miejsce na legowisko — kąt przy kaloryferze. Był stamtąd wygodny dostęp do ogrodu, a terakota na podłodze wydawała się praktyczna w razie wypadków. Pomieszczenie z przeszklonymi drzwiami było jasne i przestronne. Z oranżerii rozciągał się miły widok, gdyby pies lubił się wylegiwać.

Oczywiście Sarah powinna mieć swój udział w wyborze psa. Zdawałem sobie sprawę z symbolicznej wymowy tego wspólnego zobowiązania. Mieszkaliśmy już razem... kolej na psa, a nawet — rany! — małżeństwo. Nie, żebym coś miał przeciwko małżeństwu. Po prostu udało mi się dożyć słusznego wieku trzydziestu siedmiu lat i nigdy mi się nie przytrafiło. Tak naprawdę nawet podobała mi się ta instytucja — a zwłaszcza wizja ślubu z Sarah. Kobiety takie jak ona nie trafiają się często i z pewnością była warta tego, żeby się jej trzymać. Musiałem tylko zdobyć się na odwagę i zdecydować na jakieś dostatecznie wyjątkowe oświadczyzny. To, że mając trzydzieści pięć lat, mogła nie mieć ochoty na zamążpójście, nawet przez myśl mi nie przeszło.

A wracając do rasy. Dość wcześnie w trakcie naszych rozmów pojawił się temat sierści, a zaraz po nim kwestia zapachu. Sarah bardzo zależało, żeby nasz nowy ulubieniec nie miał włosów dłuższych niż ona i nie rozłączał nieprzyjemnej woni, kiedy będzie mokry lub zabłocony. Zatem odpadały charty afgańskie i wszystkie rasy tybetańskie (shih tzu, lhasa apso itp.). Nie miałem nic przeciwko temu, bo nie uśmiechały mi się regularne strzyżenie psiej sierści czy codzienne kąpiele.

Skonsultowałem się z książką *All-Colour Book of Dogs* — ulubioną lekturą z dzieciństwa i przydatnym przewodnikiem po niemal wszystkich rasach psów pod słońcem. Po kilku dniach namysłu zawęziłem wybór do trzech kandydatur: wyżła weimarskiego, basenji i starego pocziwego whippetu.

Wyżeł weimarski to taki psi rolls-royce. A dokładniej rolls-royce silver ghost. Szlachetny pies myśliwski o szarej sierści. Moja nauczycielka plastyki miała dwa weimarczyki — jednego z bursztynowymi i jednego z błękitnymi oczami. Pozwalała im biegać po szkolnym boisku. Pamiętam, że wydawały mi się wyjątkowe. Były spore — potrafiły przewrócić mniejsze dzieci. W mojej książce o psach napisano, że „żaden spacer nie jest zbyt długi dla tych nadpobudliwych

psów, które często przyprawiają swoich właścicieli o wyczerpanie”. Nie chciałem bywać wyczerpany; chciałem się przewietrzać.

Kandydat numer dwa. Basenji był dla kontrastu umiarkowanej wielkości. Z pewnością nietypowy, ze sterczącymi uszami i ogonem zwiniętym niczym precel. Ten pies jest tak dziwaczny, że nie szczeka. Zamiast tego wydaje z siebie dźwięk przypominający jodłowanie i czyści się jak kot. Książka opisywała go jako „aktywnego, energicznego, ale nieco powściągliwego”. Czy to oznaczało, że jest po prostu nieprzyjazny? Czy będzie kręcił nosem na tańszą karmę albo, co gorsza, niedoświadczonego właściciela, takiego jak ja?

A teraz kandydat numer trzy, whippet, czyli chart angielski. Zawsze lubiłem tę rasę. Moi rodzice pochodzili z północnej Anglii, która kojarzy się z wełnianym kaszkietem, górnikami i niewielkimi psami gończymi, nazywanymi „końmi wyścigowymi dla biedaków” — ten niewielki pies gończy jednoznacznie się kojarzył. Jest cichy, łagodny i zaskakująco pojętny w kwestiach higieny. No i to, co najlepsze: „uwielbia spać przez większą część dnia”. Znalazłem odpowiednią rasę.

Pozostawała jedynie kwestia płci. Oczywiście musiał to być facet. Nawet jeśli rasa nie należała do typowo męskich, to zawsze wyobrażałem sobie, że będzie to samiec. Dorastałem, czytając książki i oglądając filmy o psich bohaterach, takich jak Gnasher, Muttley, Shep, Old Yeller i Hong Kong Phooey. Nawet pies tak zwiewny i kobiecy jak Lassie był facetem. Tak, widziałem nas w myślach: dwóch łobuzów, mających tylko siebie do towarzystwa od dziewiętej do siedemnastej. A potem rundka po pobliskich parkach albo przebieżka po okolicznych lasach, z daleka od biurka, w każdym tego zwrotu znaczeniu.



Oczywiście, snując te wszystkie plany, nie wziąłem pod

uwagę, że miały zostać zrewidowane przez wybór, jaki oferowało konkretne schronisko. Poszukiwania zacząłem w Cotswolds — dogodnie położonym, bo podrzucałem Sarah na wieczór panieński, który miał się odbyć w okolicy. Ponieważ uzgodniliśmy kryteria wyboru, nie miała nic przeciwko temu, żebym sam odwiedził schronisko. Skrycie cieszyłem się, że to ja, jako pierwszy, zobaczę naszego psa. Zgodnie z planem tylko podrzuciłem Sarah, przywitałem się z jej przyjaciółkami i nie przeszkadzając im, wcisnąłem gaz i ruszyłem do schroniska. Po drodze minąłem kobietę wyprowadzającą trzy biało-beżowe whippet, co wziąłem za dobry znak.

Na miejscu wypełniłem w recepcji formularze. Potem czekało mnie pierwsze rozczarowanie. Dowiedziałem się, że nawet jeśli znajdą „tego właściwego”, mogą minąć dwa tygodnie, nim będę mógł zabrać go do domu. Najpierw musielibyśmy zostać sprawdzeni. Czy ja i moja partnerka będziemy odpowiedzialnymi właścicielami? Czy nasz dom, ogród, a nawet styl życia będą odpowiadały psu? Czy będziemy brali pod uwagę jego dobro? W swojej naiwności sądziłem, że będę mógł założyć obrożę szczęśliwemu psiakowi i od razu go zabrać. Cóż, trzeba uzbroić się w cierpliwość. Kojce znajdowały się na końcu ścieżki, za głównym budynkiem. Najpierw młoda pracownica schroniska poinstruowała mnie, jak mam się zachowywać — „Proszę nie karmić ani nie drażnić psów”, „Jeśli zobaczy pan takiego, który się panu spodoba, proszę zapisać jego imię i numer” — a potem przeszedłem na coś w rodzaj wybiegu, dookoła którego rozmieszczono kilka drewnianych i betonowych budynków. To tutaj wszystko miało się rozegrać, oto teatr dla moich marzeń.

Przez pół godziny oglądałem tylko kundle, z których większość wyglądała, jakby były krzyżówką owczarka niemieckiego z inną rasą, i sporo przygnębionych staffordshire bulterierów. Kilka chartów nieśmiało podbiegło do krat. Przypominały raczej jelenie niż psy. Za bardzo kościste i o wiele, wiele za wysokie. Zupełnie, jakby zabierać na spacer

drabinkę. Pozostałe psy miały już imiona — nadane przez poprzednich właścicieli, albo, jeśli przywieziono je bez imienia, przez schronisko. Niewiele z nich miało ochotę na zabawę albo sprawiało wrażenie choćby trochę szczęśliwych. I ani jednego whippet. Czy miałem ochotę uratować któregoś z tych nijakich nieszczęśników? Całe miesiące miną, nim wyjdzie taki z dołka... a może nigdy mu się to nie uda? Doszedłem do ostatniej klatki. Z jakiegoś powodu miałem dobre przeczucie.

Były tam dwa psy, oba podeszły do prętów. Ten wyższy, długowłosey rudy seter, szybko wrócił do legowiska. Mniejszy był pogodnym, niewielkim skundlonym terierem. Niemal cały biały, z czarną plamką przy oku, czekał i kręcił się, lizał moje palce i wydawał się zachwycony tym, że przystanąłem, żeby się przywitać. Obserwowałem go przez kilka minut. Przez cały ten czas prezentował się od najlepszej strony, starając się wyglądać na dobrze ułożonego, żwawego i chętnego do zabawy. Od czasu do czasu wracał do kojca i go obwąchiwał. Na moje gwizdnięcie lub pstryknięcie palcami natychmiast ustawiał się na baczność. Z nim nie byłoby kłopotów z wyegzekwowaniem posłuszeństwa. Miałem przed sobą małego zwierzaka z zainstalowanym oprogramowaniem. Nie był to whippet, ale był schludny, czujny i z pewnością będzie wdzięczny. Podobało mi się też jego imię: Komar. Czując, że podróż jednak się opłacała, zapisałem numer Komara i zacząłem się rozglądać za pracownicą schroniska, żeby powiadomić ją o moim wyborze. Zgodnie z procedurami młoda kobieta wróciła z biura z teczką.

— Chętnym do adoptowania przedstawiamy historię psa, zanim zdecydują się zapewnić mu nowy dom.

Świetnie, pomyślałem, może jesteśmy spod tego samego znaku?

— Komar miał dotąd dwa domy — zaczęła. — Bardzo potrzebuje troskliwego i doświadczonego opiekuna.

Poczułem się rozczarowany. Okazało się, że Komar sprawia „problemy”. Zaczepia prawie wszystkie psy, sieje zniszczenie

w domu, ma skłonności do chronicznego lęku separacyjnego i zazdrości. Krótko mówiąc, pies Baskerville'ów w miniaturze.

— A wydawał się taki słodki — stwierdziłem.

— Bo taki jest — odpowiedziała kobieta pokrętnie.

Znałem swoje ograniczenia — może i byłem troskliwy, ale na pewno nie doświadczony. Za sprawą ojca całe moje doświadczenie z dzieciństwa w kwestii posiadania zwierzaka w domu ograniczało się do hodowania świnek morskich. A raczej zbierania liści mleczu do worków i zanoszenia ich do garażu. Trzy spore klatki zamieszkiwało nie mniej niż czternaście piskliwych futrzaków — w każdym kolorze i rozmiarze, od gładkich szczurów wodnych do wielokolorowych modniś z sierścią układającą się w rozetki. Czasem wyjmowaliśmy jedną z nich z klatki i pozwalaliśmy jej buszować po ogrodzie. Ale co do problemów wychowawczych... No cóż, to były świnki morskie. A świnki morskie są albo radosne, albo chore. Jeśli chorowały, zostawiało się je w spokoju, żeby im się polepszyło. Jeśli im się nie polepszało, to na pocieszenie było jeszcze trzynaście pozostałych. Wiedziałem, że Sarah też nie jest zbyt doświadczona w kontaktach ze zwierzętami. Jedynym zwierzakiem, jakiego miała w dzieciństwie, była biała koza, która zastępowała kosiarkę na wioskowym boisku.

Rozważyłem perspektywę resocjalizacji Komara i muszę wyznać, że ogarnęła mnie niechęć. To nie był Dash i nie miał w sobie wystarczająco dużo Dasha, żeby zagwarantować mi powodzenie. Wolnym krokiem wróciłem na parking. Być może te poszukiwania miały się okazać trudniejsze, niż mi się wydawało. Ale nie zamierzałem się zniechęcać. Whippet, terier, a nawet wilczarz irlandzki, jeśli zajdzie taka potrzeba. Pies, którego imię już wybrałem, gdzieś tam był — musiałem go tylko znaleźć.



Kilka dni później wznowiliśmy poszukiwania. Tym razem ja i Sarah ruszyliśmy na nie jako para. Miałem nadzieję, że zademonstrujemy w ten sposób jedynomyślność i zwiększymy szanse na adopcję. Kto potrafiłby się oprzeć tak zrównoważonym potencjalnym opiekunom? Wybraliśmy schronisko położone bliżej Oksfordu. Na miejscu odkryliśmy, że chociaż schronisko jest otwarte, to nie ma w nim psów. Wszystkie zostały poddane kwarantannie z powodu epidemii kaszlu kenelowego. Siedzieliśmy w ponurym baraku biurowym, przeglądając zawartość powpinanych do segregatora koszulek ze zdjęciami internowanych psów. Fotografie wszystkich choć trochę sensownych zwierzaków opatrzone już nalepką „zarezerwowany”.

— Czy miewają państwo whippety? — spytałem kobietę siedzącą za biurkiem.

— Nie, niezbyt często — odpowiedziała. — Czasami trafia się jakiś chart... wie pan, kiedy przestaje brać udział w psich wyścigach.

Do domu jechaliśmy przygnębieni. Siedziałem przygarbiony w fotelu pasażera, zastanawiając się, jak znaleźć odpowiedniego psa... albo w ogóle jakiegokolwiek. Być może nadeszła pora, żeby zmienić taktykę — jeszcze raz przekartkować książkę o psach. Skoro nie ma whippetów, to jaka rasa plasuje się na drugim miejscu? Pod względem wielkości pewnie pasowałby foxhound. To w końcu również pies gończy. Zaznajomiłem się z jego opisem, ale mnie nie zachwycił. Poza tym niepokoiło mnie trochę, że kiedyś tej rasy psów używano do polowań na lisy. Nigdy nie byłem zagorzałym moralistą, ale zdecydowanie nie chciałem uchodzić za człowieka, który spędza weekendy, najeżdżając wsie.

Zainteresowałem się więc krótkowłosym owczarkiem collie. Krótka sierść, średnia budowa... a do tego mądry. Wyczytałem w swojej książce, że „jest łatwy w tresurze, łatwy w obejściu i łatwo się z nim mieszka”. Nietrudno tu dostrzec dominującą cechę. W opisie rasy — nieco w stylu Geralda Durrella —

znalazłem informację, że te psy „są przyjazne dla dzieci i innych zwierząt”. Czy to tej rasy szukaliśmy? Już wyobrażałem sobie, jak mówię: „Nie, nie, to krótkowłosey collie”, kładąc nacisk na słowo „krótkowłosey”. Ponownie zabrałem się do poszukiwań. Tego samego popołudnia znalazłem schronisko, które specjalizowało się w owczarkach collie i znajdowało się godzinę jazdy od mojego domu. No i proszę. Cierpliwość się opłaciła.

Sarah i ja umówiliśmy się na wizytę w sobotę rano i tuż po dziewiątej znaleźliśmy się w recepcji, gdzie stał okrągły stół, kilka krzeseł i leżała sterta ulotek oraz czasopism poświęconych owczarkom collie. Wypełniliśmy formularz, wysłuchaliśmy wskazówek. Niczym kartę dań wygłodniałym gościom w restauracji, podano nam folder z psami przebywającymi w schronisku. Przejrzelśmy go — mnóstwo uroczych zdjęć, ale żadnego krótkowłosego collie. Może jest jakiś folder z „ofertami specjalnymi”?

— Nie — usłyszeliśmy beznamiętną odpowiedź. — Tu są wszystkie psy, jakie mamy w schronisku.

Posłałem Sarah pytające spojrzenie. Los może wybierać kręte ścieżki i czasem trzeba na nie wkroczyć. I tak postanowiliśmy zrobić. Pierwszym psem, którego wybraliśmy, był piękny czterolatek.

— Jest do wzięcia? — spytaliśmy nerwowo.

— Tak, ale jest głuchy, biedactwo. Oczywiście, jeśli są państwo chętni, można się nauczyć języka migowego psów.

Języka migowego? Nawet o zakładaniu obroży i smyczy mieliśmy jedynie niejasne pojęcie! Wybraliśmy zatem inne zwierzę o przyzwoitym życiorysie i wyszliśmy na zewnątrz, żeby na nie poczekać. Przyprawiono je do nas na dziwaczną randkę w ciemno, żebyśmy mogli przespacerować się z nim po skrawku trawy. Na końcu smyczy, z nosem przyklejonym do ziemi, jakby w poszukiwaniu niewidzialnego, zdalnie sterowanego samochodziku, siedł pies, który mógł stać się nasz. Co lepsze, mogliśmy go zabrać tego samego dnia.

Typowy border collie: pies roboczy i pies robotnika. On ciągnął, my ciągnęliśmy... czasem nawet w tym samym kierunku. W połowie trawnika zatrzymał się, żeby unieść nogę, odsłoniwszy coś, co można opisać jedynie jako wyborowe salami. Sarah zamarła z otwartymi ustami, a potem wybuchła śmiechem. Ja tylko patrzyłem, zdumiony. Pięć minut później oddaliśmy go, delikatnie odmawiając adopcji. Czułem się niezręcznie. Był zbyt wielki, zbyt silny, zbyt samczy. Prawdę mówiąc, miałem już dosyć szukania. Dosyć szukania i porażek. Całe to doświadczenie okazało się klapą. Miałem ochotę się rozplakać.



Następnego wieczoru, po całym dniu pracy, zszedłem na dół i przy drzwiach oranżerii wpadłem na Sarah.

— Mam coś dla ciebie — oznajmiła.

— Tak? Co?

Wprowadziła rower do szopy w ogrodzie i dopiero potem weszła do domu. W ręku trzymała złożoną kartkę.

— Wisiało na tablicy ogłoszeń u mnie w pracy. Zobacz, co o tym sądzisz. — Uśmiechnęła się niepewnie. — Chyba nie powinnam była tego zdejmować, ale chciałam, żebyś miał prawo pierwokupu.

Było to niewielkie ogłoszenie. Na górze ktoś napisał czarnym markerem małymi i wielkimi literami: „PROSZE, CZY MOŻESZ MI DAĆ DOM?”. Całość była pisana w pierwszej osobie, gorącą psią odezwą do reszty świata: „Nazywam się Beautiful Energy. Biegałam w gonitwach na stadionie w Oksfordzie. Teraz, z powodu kontuzji, nie mogę już brać udziału w wyścigach... Jestem pewna, że będę świetnym zwierzątkiem domowym”. Niżej podano wiek („trzy i pół”), płć („suka”), kolor („czarna z białą kłatką piersiową”), wagę („25 kilo”) i usposobienie („bardzo przyjazna”). Zainteresowanych proszono o kontakt z Peterem, jednym z

ochroniarzy, który mógł udostępnić zdjęcia psa. Niepoprawne pisownia i interpunkcja czyniły tę prośbę jeszcze bardziej szczerą i rozpaczliwą. Poczułem dreszcz, jaki towarzyszy przeświadczeniu, że wzywa nas przeznaczenie. Ten chart pojawił się znikąd — mała czarna suczka z talentem do autopromocji. Muszę przyznać, że nastawiłem się już na samca, ale może dałbym sobie radę z suczką? Próbowałem przypomnieć sobie wszystkie suczki, o których czytałem lub te widziane w filmach czy telewizji. Do głowy nie przychodziła mi ani jedna. Czy to oznaczało, że nie można się z nimi dobrze bawić? A jeśli mają swój psi odpowiednik wylegiwania się na kanapie z magazynami ilustrowanymi czy malowania paznokci, i tak spędzają czas? Był jeden sposób, żeby się tego dowiedzieć. Na dole ogłoszenia zapisano numer komórki, postanowiłem zadzwonić zaraz po obiedzie.

Przeczekalem jeden sygnał, drugi, trzeci, czwarty...

— Halo?

— Halo — odezwał się pewnym głosem. — Mam na imię Andrew. Moja dziewczyna zobaczyła w pracy ogłoszenie. O psie. Dzwonię w sprawie psa.

— To suka — sprostował mój rozmówca z mocnym oksfordzkim akcentem.

— Dobrze. Tak. Nic nie szkodzi. — Zbagatelizowałem sprawę. — Zatem, eee, ona jest chartem.

— Taaa. Mała ślicznotka... nieźle biega. Ale miała kontuzję, naciągnęła mięsień, jeden z tych dużych w tylnej łapie, wie pan. Straciła kilka sekund na dystansie i już nie potrafi tak szybko wystartować. Biega, ale nie nadaje się do wyścigów.

— Aha, rozumiem. To... czy mogę ją zobaczyć? — spytałem.

— Mam zdjęcia — odparł Peter. — Teraz mieszka u trenera. Może pan obejrzeć zdjęcia.

Powiedziałem, że bardzo chciałbym je zobaczyć. Obiecałem, że zadzwonię do Rona, trenera, i poproszę go, żeby przywiózł psa na Oxford Greyhound. Tymczasem Peter miał odwiedzić

nas w domu, żeby sprawdzić, czy nadaje się dla psa, jego psa. Jak się okazało, to on był właścicielem Beautiful Energy. Ilekroć mówiłem o psie, on za każdym razem mnie poprawiał: „Suka. To suka”. Pod koniec naszej rozmowy wbitem to sobie do głowy i brzmiałem jak rasowy gangsta-raper. W kącie salonu Sarah tłumila śmiech. Umówiłem się z Peterem i wydałem z siebie triumfalny okrzyk.

Potem był telefon do Rona. Jak zdążyłem się zorientować, hodowcy chartów potrafią być bardzo bezpośredni. Żyją wyłącznie gonitwami, w sposób, którego nie doceni żaden przeciętny właściciel psa. Ron, jak się okazało, był bardzo uczynny. Tak, mógł przywieźć suczkę na stadion w środę. I tak się tam wybierał, a jeden dodatkowy pies w furgonetce nie stanowi problemu. Mieliśmy się spotkać z nim i Peterem przed gonitwą. Suczka nie będzie brała udziału w wyścigu, ale można ją umieścić w jednym z kojców przy torze wyścigowym wraz z innymi psami, żaden problem. Możemy ją obejrzeć i się zastanowić. Nie ma sprawy. I o to chodziło! Wreszcie byliśmy umówieni z Dash. Z podekscytowania i wdzięczności przytuliłem i ucałowałem Sarah. Pewnie zachowałbym się tak samo wobec Rona i Petera, gdyby u nas byli.

Dwa dni później wpadł Peter. Niskawy mężczyzna po pięćdziesiątce, łysy, z gęstymi siwymi wąsami, przez które wyglądał tak, jakby nieustannie się uśmiechał. Nie chciał herbaty, kawy, piwa, wina ani nawet wody. Przysiadł na kanapie, nie mogąc się doczekać pokazania nam zdjęć. Mówił, że jeśli nie ma nocnej zmiany, chodzi na stadion w każdą środę i sobotę, żeby pomagać Ronowi lub po prostu śledzić gonitwy. Beautiful Energy dała mu powody do dumy i zarobiła na sobie z nadwyżką. Jeśli nie znajdzie suczki dobrego domu, to opłaci jej pobyt u Rona do czasu, aż wyda ostatnie tchnienie. Przytakiwałem z powagą i przyglądałem się zdjęciom. Na obu widać było podium dla zwycięzców na torze wyścigowym — uśmiechnięte twarze, puchary, światło reflektorów, a w samym środku chart okryty oblamowanym złotem płaszczem.

— Suka Roku — stwierdził z dumą Peter. — W domu mam jej trofeum, powinienem być je przynieść.

A więc była prawdziwym championem. Tak też wyglądała — stojąc na czterech łapach, wysunięta do przodu, jakby szykując się do kolejnego okrążenia. Czarna jak smoła — aż trudno było dostrzec jej oczy — ale na piersi miała biały pasek przypominający świeżo wyrysowaną linię boiska. Wyglądała, jakby pazury również zanurzyła w białej farbie, a biały koniuszek ogona płonął niczym koniec lontu. Była znacznie mniejsza niż smutni samotnicy — zdałem sobie sprawę, że to były samce — których widziałem w schronisku.

Peter przerwał milczenie:

— Moja córka nadała jej imię. To ona. — Pokazał kolejne zdjęcie, na którym ośmio-, może dziewięcioletnia dziewczynka przytulała psa.

— Beautiful Energy, tak? Niezłe imię — stwierdziłem. — Bardzo dystyngowane. — Rozmyślałem, jak idiotycznie będę się czuł, wykrzykując je pełnym głosem w parku.

Potem, klasnąwszy w dłonie, Peter obwieścił, że nadeszła pora obejrzyć potencjalny nowy dom dla charcicy. Przeszliśmy przez kuchnię do oranżerii.

— Pomyślałem, że tu będzie najlepsze miejsce na legowisko — powiedziałem, wyciągając rękę w stronę kaloryfera.

Zaaprobował mój wybór. Czas na ogród. Obeszliśmy go dookoła, a Peter zatrzymał się przy ogrodzeniu.

— Z tamtej strony jest w porządku, ale z tej jest trochę za niskie. — Wskazał na sięgający mu do piersi płot z drucianej siatki, który odgradzał nas od sąsiadów. — Charty potrafią podskoczyć nawet metr osiemdziesiąt w górę — dodał.

— Ale chyba nie bez porządnego rozbiegu. — Próbowałem uniknąć konieczności przekształcenia naszego ogrodu w więzienny spacerniak.

— Będzie pan potrzebował czegoś tutaj — obwieścił, wskazując na koniec ogrodzenia, za którym zaczynało się przejście między dwoma domami.

— Ma pan na myśli furtkę? — spytałem z nadzieją, że właśnie o to mu chodziło.

— Taaa, żeby się nie przyzwyczaiła do wędrówek po sąsiednich ogródkach. Czy któryś z sąsiadów ma kota?

Odpowiedziałem, że nie sędzę, ale przyznałem mu rację, że powinniśmy tu pewnie zamontować furtkę. Poza tym nie widział konieczności innych zmian. Nasze następne spotkanie miało się odbyć na torze, w towarzystwie psa... a raczej suki.



Stadion do rozgrywania psich gonitw Oxford Greyhound to perełka w samym sercu Cowley — położonej na południowy wschód od starego miasta dzielnicy, która była świadkiem dynamicznego rozwoju i dramatycznego załamania przemysłu motoryzacyjnego oraz powstawania centrów naukowych i handlowych. Zamieszkują ją przeróżni ludzie: niechlujni studenci, lewaccy akademicy, właściciele furgonetek, z których sprzedaje się kebaby, młodociani amatorzy wyścigów — cała panorama ciemniejszych stron życia. W umówioną środę wjechaliśmy na stadion bramą zarezerwowaną dla personelu i VIP-ów. Peter czekał w rogu parkingu, prezentując swój wąsaty uśmiech. Poprowadził nas obok toru wyścigowego — pierwszy raz oglądaliśmy coś takiego — na otwartą przestrzeń na wprost głównej trybuny, gdzie zaparkowało kilkanaście furgonetek. Nadszedł czas, żeby poznać Rona i Beautiful Energy.

Ron okazał się dżentelmenem. Lekko przysadzisty, trochę powłóczył nogą; widać było, że przeszedł niejedno — i w życiu, i na torze. Miał ochrypły głos, który upodabniał go do sympatycznego kombinatora. Czy zastanawiał się, dlaczego chcemy wziąć charta? A dlaczego mielibyśmy nie chcieć? Ron twierdził, że to wysportowane bestie, które będą biegły, dopóki serce im nie stanie. Są posłuszne i nadzwyczajnie czyste. Zapewniały mu byt. Beautiful Energy opisał jako „pierwszej klasy sukę i cholernie dobrego biegacza”. Odsunął

drzwi czarnej furgonetki i zaprosił nas, żebyśmy zerknęli do środka. Wnętrze zostało przerobione i wyposażone w klatki do przewożenia psów, od podłogi aż po dach. W każdej klatce było wystarczająco dużo miejsca, żeby pies mógł się w niej ułożyć, spoczywając na zadzie niczym sfinks.

— Oto i ona — zachrypiał, wskazując na klatkę w najniższym rzędzie.

Czarna suczka spojrzała na nas, a potem postawiła uszy. Wystawiła nos przez kraty i zaczęła węszyć. Dwoje czarnych oczu wpatrywało się w moje, jakby rozumiała, co się dzieje. Potem Ron otworzył niewielkie siatkowe drzwiczki i jednym sprawnym ruchem zapiął na szyi suczki szeroką skórzaną obrozę.

Kiedy wyskoczyła z furgonetki, ja i Sarah dostrześliśmy, że jest o wiele dłuższa, niż nam się wydawało na podstawie zdjęć. Jakby chcąc pokazać, że potrafi być też wysoka, natychmiast stanęła na tylnych łapach, a przednie oparła na mojej piersi. Niezłe powitanie — i coś, czego będziemy ją musieli oduczyć, jeśli dojdzie do adopcji. Gdyby spróbowała tego z kimś niższym, mogłaby go przewrócić jak kręgiel.

— Proszę ją oprowadzić kawałek, żeby ją wyczuć — zaproponował Peter.

Idąc z uniesionym łbem, mocno ciągnęła smycz, poruszając się szybko i z precyzją; widać było, że jest podekscytowana powrotem na znajomy grunt. Powinniśmy wypatrywać czegoś znaczącego — utykania będącego wynikiem jej urazu? A może raczej obserwować, czy nawiążemy porozumienie? Na bokach miała zadrapania i niewielkie blizny, ale jej mięśnie pracowały z zadziwiającą łatwością. Kiedy promienie słońca padły na sierść, błysnęła smolista czerń. Suczka wydawała się całkowicie zdrowa.

— Silna jest — wyszeptała Sarah, kiedy wzięła smycz. — Naprawdę ciągnie.

— Może wyczuła zwierzynę — zażartowałem, zaskoczony

tym, że trzy razy lżejszy od nas pies zmusza nas niemal do truchtu.

— Co myślisz? — spytałem.

— Na pewno jest ładna... Ale czy dom będzie dostatecznie duży?

— Jeśli mieści się w klatce do przewożenia, to w domu też się zmieści — odpowiedziałem bez wahania. — A zatem, moja pani. Czy jesteś naszą Dash?

Psi uśmiech stał się szerszy, a brązowe oczy rozbłysły. Wepchnęła nos w moją dłoń i polizała ją delikatnie, jakby lizała znaczek. Kiedy wróciliśmy do furgonetki, Ron i Peter rozmawiali z pozostałymi trenerami, którzy przygotowywali swoje psy: białe, białe w brązowe łaty, beżowe, przegowane, a nawet szare.

— I jak? — spytał Peter z nadzieją. — Jest bardzo przyjazna, co?

Przyznaliśmy mu rację. Przyjazna i wysportowana, właściwej wielkości... wspaniała.

— Nie musicie się od razu decydować — dodał. — Przemyślcie to i zadzwońcie do mnie jutro.

Dobrze, przemyślimy. Chciałem zapytać, ile pies będzie kosztował, ale nie umiałem wydusić z siebie tego pytania. Zamiast tego rozmawialiśmy o gonitwach zaplanowanych na wieczór, o tym, kiedy Ron i jego psy skończą biegi i ile czasu zajmie im powrót do domu. Zdaliśmy sobie sprawę, że mają mnóstwo roboty, więc podziękowaliśmy im obu, pogłaskaliśmy Beautiful Energy na pożegnanie i wróciliśmy do samochodu.

Czas na decyzję, a decyzje najlepiej podejmować z pełnym żołądkiem. Wjechaliśmy w Cowley Road, żeby dojechać do Oxford Thai. Była to jedna z naszych ulubionych restauracji, z kilku powodów — jedzenie serwowano niedrogo i smaczne, a Sarah mieszkała i pracowała kiedyś w Tajlandii jako nauczycielka. To tam dwa lata wcześniej poszliśmy na pierwszą randkę. Siedzieliśmy przy stoliku pod oknem, Sarah wyglądała olśniewająco, uśmiechała się przez cały wieczór i złożyła

zamówienie po tajlandzku. Byłem urzeczony. Tamtą jesień spędziliśmy razem, jeżdżąc na rowerach do pracy i z powrotem, chodząc do kina, wspólnie gotując, śpiąc u siebie nawzajem, zakochując się w sobie i spędzając cudowny, beztroski czas. Tak było wtedy. Teraz musieliśmy się zastanowić nad innym wyborem: czy zaprosić do naszego wygodnego związku charta, pożegnać się z porannym wylegiwaniem, spontanicznymi wypadami w weekendy... i czy powitać zupełnie nową rzeczywistość.

— Więc... Czy to ona jest tą jedyną? — zapytała Sarah po złożeniu zamówienia.

Milczałem zamyślony.

— Hmm, nie wiem — odezwałem się w końcu. — Ona to przecież nie „on”.

Moja dziewczyna posmutniała.

— A poza tym chart, nawet mały, to nie to samo co whippet. Posmutniała jeszcze bardziej. Znow zapadła cisza.

— Poza tym to ja będę się nią cały dzień opiekował — powiedziałem po chwili.

— Ale to ty zawsze chciałeś mieć psa! — zawołała Sarah. Mówiłem dalej, głośno myśląc:

— Jest całkiem ładna.

— A do tego utytułowana — dodała Sarah z entuzjazmem.

— W końcu to Suka Roku.

— Właśnie, Suka Roku — powtórzyła.

Zamilkłem ponownie, a potem uśmiechnąłem się chytrze.

— Hej, weźmy ją. To nie będzie chyba takie trudne?

Sarah rozpromieniła się i sięgnęła nad stolikiem po moją dłoń.

— Zdecydowałeś się już na stadionie, prawda?

— W pewnym sensie — odparłem. — Zajęło mi to dobrą minutę.

I tak to się odbyło. Z samego rana miałem zadzwonić do Petera i powiedzieć, że chcemy pozbawić go problemu w postaci utytułowanego charta. Dni psiej kariery sportowej

dobiegły końca; czas na przygodę.



W pewną środę w połowie września, po lunchu, odebrałem Dash ze stadionu. Nie tracąc czasu, wcześniej wpadłem do sklepu zoologicznego, w którym kupiłem dwie psie miski (jedną na jedzenie, drugą na wodę) i małą przywieszkę w kształcie kości, na której wygrawerowano nowe imię charcicy i mój numer telefonu. Znajomy podarował mi niepotrzebne używane legowisko dla psa, które wyścieliłem starym kocem. Ron miał mnie wyposażyć w resztę: smycz, obrozę i czarny plastikowy kaganiec na wypadek, gdyby stała się niesforna w parku. Co dziwne, nie oczekiwał żadnej zapłaty. Tak samo jak Peter — wystarczyło mu, że znalazł jej dobry dom. Obu podobało się nowe imię Dash i byli pewni, że suczce też się spodoba. Ja tymczasem zacząłem się zastanawiać, czy nie jest za bardzo w stylu macho jak dla dziewczyny, ale z tego, co widziałem przy naszym pierwszym spotkaniu, była chyba dostatecznie szybka, żeby na nie zasłużyć.

Dopiero kiedy wróciłem z nią do samochodu, zdałem sobie sprawę, że nie mam pojęcia, jak ją przewozić. To by było tyle, jeśli chodzi o moje superzorganizowanie. Samochodowi daleko było do przestronności — był to ford ka, którego kupiłem od mamy jako auto miejskie. Czy Dash powinna siedzieć z przodu, zapięta pasem, obok opuszczonej szyby? Często widywałem samochody osobowe i furgonetki z psimi łbami wystającymi ponad szybą, ale nie byłem pewien, czy jest to wskazane w trakcie pierwszej podróży. A może włożyć ją do bagażnika? Było tam trochę twardo, a ona nie miała zbyt wiele tłuszczu. W końcu uznałem, że najwygodniej będzie jej na tylnym siedzeniu. Rozłożyłem tam stary koc, który trzymałem w samochodzie, i otworzyłem jedno z bocznych okienek.

Zatrzymała się przy drzwiach samochodu i zajrzała do środka. Potem spojrzała na mnie.